

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.  
1/2 " -- 40 "  
1/4 " -- 20 "  
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Memento.

Cała prasa polska poruszona jest wynikiem wyborów komunalnych na Górnym Śląsku. Listy polskie uzyskały zaledwie 57,33 proc., gdy podczas wyborów do Sejmu śląskiego w roku 1922 stronnictwa polskie zdobyły przeszło 70 proc. W ciągu więc czterech lat, mimo przynależności Śląska do państwa polskiego, polski stan posiadania nie tylko się tam nie wzmocnił, ale przeciwnie znacznie osłabił. Natomiast wpływy niemieckie w tym samym stopniu się spotęgowały.

Doszukując się powodów porażki prasa polska przeważnie przy tej sposobności załatwia jedynie porachunki partyjne. Tak więc prasa rządowa przypisuje winę Polskiemu Zjednoczeniu Stronników Chrześcijańskich z p. Korfantym na czele, które przez swą taktykę skrajnie opozycyjną względem obecnego rządu poderwało zaufanie doń w szerokich masach wyborców, natomiast organy antyrządowe za główną przyczynę zwycięstwa Niemców uważają przewrót majowy, który ogromnie zraził ludność Śląska, przyzwyczajoną myśleć kategorjami ładu, porządku i logiki państwowej.

Niewątpliwie zacięta walka tych dwóch obozów, szczególnie ostra na terenie b. zaboru pruskiego musiała wpłynąć ujemnie na rezultat wyborów, powodując zamieszanie i rozbiecie się list polskich, główny wszakże powód klęski, jak można wywnioskować z ostrożnych wynurzeń wojewody śląskiego wobec prawomyślnego odłamtu prasy warszawskiej, tkwi w niepomyślnej zasadniczo konjunkturze ekonomicznej przyłączonej do Polski połaci Śląska, zwłaszcza w zestawieniu z drugą jego połową, która pozostała w granicach Rzeszy Niemieckiej.

Bezrobocie, które mimo czasowego wzmożenia produkcji węglowej, daje się mocno we znaki miej-

scowej ludności, większe upośledzenie robotnika niż w części niemieckiej, drożyzna, niższy stan waluty polskiej — wszystko to są atuty na korzyść agitacji niemieckiej. Fatalny system administracyjny — o czym wojewoda dyskretnie nie wspominał wprawdzie, ale na co kładzie nacisk, między innymi, „Nowa Reforma” — również w niemałym stopniu przyczynił się do zniechęcenia ludności miejscowej. Najważniejszym jednak czynnikiem, przeciwdziałającym usiłowaniom unifikacyjnym ze strony rządu polskiego i popieranym przezeń organizacją szowinistycznych („Powstańców“ i t. p.), jest coraz bardziej wzmagające się poczucie wspólności krajowej, podsycane stale żywą cyrkulacją ludności pomiędzy obu częściami Śląska. A że część niemiecka ma większą siłę przyciągającą, niż polska — jest to zupełnie naturalne ze względu na wyższy jej stan kulturalny i ekonomiczny.

Tak lub owak, faktem jednak jest nie ulegającym wątpliwości, że poczucie narodowe nie jest wielkością stałą, lecz wysoce zmienną — zwłaszcza na terytorjach o ludności mieszanej i że czynnik ekonomiczny w wielu wypadkach może zaważyć w życiu politycznym mocniej, niż interes narodowy.

Napięcie afektu narodowego, w pewnych sprzyjających okolicznościach, wskutek umiejętnej agitacji, dzięki wyzyskaniu odpowiedniego momentu psychologicznego i t. p. może wytworzyć zupełnie fałszywy obraz istotnych nastrojów, panujących wśród ludności na danym obszarze i nader zawodną jest rzeczą na tak kruchym fundamencie opierać jakies rachuby polityczne.

Jeżeli mieszkaniec Śląska, stojący na względnie wysokim poziomie kulturalnym, bez wyjątku niemal piśmienny, czytający gazety, uświadomiony w ogniu walk plebiscytowych i wyborczych może głosować raz na listy polskie, a innym razem na listy niemieckie, — to cóż dopiero mówić o ludności ciemnej, złożonej z analfabetów, o różnolitych pierwiastkach

etnicznych, obojętnej na zagadnienia polityczne. W takim środowisku możliwe są wszelkie niespodzianki i oblicze jego jest zgoła nieuchwytnie

Jest jeden tylko mocny grunt, na którym można coś budować. To—wrodzony naturze ludzkiej konserwyzm: przywiązanie do swej ziemi, do swej mowy, do wytworzonych wiekami form życia. Kto potrafi zagrać na tych strunach, troszcząc się jednocześnie o zapewnienie dobrobytu materialnego, ten zdobędzie istotnie trwałą podstawę panowania. Łamanie zaś uświęconych tradycją norm prawnych, ustrojowych i obyczajowych, podejmowane w imię wyższych celów narodowych lub państwowych, wytwarza zwykle tylko ferment i niezadowolenie.

Rządy, operujące metodami centralistycznymi i nacjonalistycznymi na dłuższy i prawdziwy sukces rachować nie mogą.

## Po zjeździe unjonistycznym w Wilnie.

Zjazd, który się odbył w Wilnie w d. d. 9—10 listopada był pierwszą tego rodzaju naradą biskupią za naszych czasów. 330 lat przedziela ten moment od pamiętnej Unji Brzeskiej, po której znamy parę synodów, zajmujących się dalszemi jej losami, nie wiemy jednak, czy i jaki zjazd wileński ma w przeszłości kraju precedensy. Wybór miejsca dlań był najzupełniej trafny, bo śmiemy twierdzić, że Wilno w dziejach Unji odegrało rolę nierównie ważniejszą niż Lwów. Tylko bowiem w Wilnie Unja była aktywną, gdy we Lwowie nie przestaje być ciągle broniąca się.

Pierwsza trudność, jaką napotyka piszący o zjeździe, jest to ustalenie dokładne jego charakteru. Rozumie się, bez znaczenia jest, jak go nazwiemy: zjazdem, konferencją, naradami i t. p., ale sprawą wcale ważną jest bliższa jego kwalifikacja. Był-że-to zjazd *unjonistyczny*? Poniekąd tak, chociaż *bez udziału władcyków unickich*, których nań nawet nie proszono. Tedy może ściśle *łaciński*? Niezupełnie, bo przecież wysłuchano referatów ks. Morozowa i ks. Dąbrowskiego, kapłanów obrządku *tylko* wschodniego, a inni prawosławni duchowni, kandydaci do Unji, też dookoła zjazdu się uwijali. Nie będzie dlań właściwą i trzecia nazwa: zjazdu biskupów *z nad granicy rosyjskiej* lub z ziem białorusko-ukraińskich, bo nie byli w Wilnie reprezentowani ani ordynariusze archidiecezji lwowskiej i stanisławowskiej obrz. gr.-kat., ani też biskupi galicyjscy łacińscy ze Lwowa i Przemysła, których diecezje bezpośrednio przecięły granicą z Sowietami. Wobec powyższego nie będziemy się wysilali na wymyślanie cudacznej a wielopiętrowej nazwy, ktoraby ściśle określała rzecz.

W zjeździe uczestniczyli arcybiskupi wileński (przewodniczący) i mohylowski oraz biskupi następujących miast: Lublin, Łomża, Siedlce i Pińsk. Łuck na Wołyniu, niestety nie był reprezentowany z powodu choroby tamecznego biskupa. Sekretarzował zjazdowi jedyny obecny biskup sufragan wileński, bo inni sufragani (Lublin, Łuck, Siedlce) nie byli obecni, mimo że zagadnienia Unji nie są dla nich całkiem obce. W pierwszym dniu obrad ponadto

uczestniczył w sesji przedpołudniowej sędziwy arcybiskup Hryniewicki, który w tej chwili znamiennej znalazł się akurat w Wilnie.

Zjazd nosił charakter zamkniętych obrad, chociaż wysłuchał szeregu referatów — petycji, wypowiedzianych przez niższe hierarchicznie jednostki, którym zadawał też odnośne pytania. Ciekawość ogółu miał zaspokoić wydany po zjeździe, a zredagowany b. ostrożnie komunikat. Mogli więc referenci używać informacji i wyjaśnień tylko co do tego, co *sami* mówili lub o co byli pytani. Złośliwa ciekawość, ktoraby zalecała podpatrywanie przez szpary lub zechciała ukryć się pod stołem obrad, byłaby niezawodnie ukarana rozczarowaniem, że stosunkowo mało nowego wniósł zjazd do tego, co już było w teorii i praktyce polskiej pracy unjonistycznej.

Właściwym celem zjazdu, urzędownie ogłoszonym było *ożywienie i ujednostajnienie* tej pracy. Tak szerokie określenie celu narad trochę utrudniało niektórym przygotowanie referatów, które wskutek *em barras de liberté*, mogły mieć linję mniej specyzoowaną. Do tego braku przybył potem drugi — tempo *rapid* w wygłaszaniu referatów, na co się nieco skarżyli wszyscy referenci.

Bodaj najobszerniejszy był referat ks. Morozowa. Jeśliby został ogłoszony drukiem, broszura byłaby nader ciekawą nawet dla tych, co nie podzielają wszystkich poglądów o. archimandryty. Nie zamierzamy tu streszczać ciekawego tego dokumentu, z którego wyjmemy tylko główne trzy: wschód chrześcijański nie życzy sobie wcale, by z propagandą katolicyzmu, (nie latynizmu) usiłowano go razem wciągnąć w orbitę specyficzniej zachodniej, obcej mu kultury; — najbardziej odpowiednią nazwą dla obrządku zjednoczonych z Kościołem prawosławnych i dla nich samych jest *prawosławno-katolicki*, resp. *prawosławni katolicy*; — daleko większą, przedewszystkiem moralną opieką należy otoczyć tych nowych wyznawców Kościoła powszechnego; — dlatego należy w Wilnie powołać do życia osobny generalny wikariat prawosławno-katolicki, zależny od miejscowego arcybiskupa. Powyższe tezy ks. Morozowa, może z wyjątkiem pierwszej wymagającej tylko uwzględnienia psychologii mieszkańców Wschodu, upadły całkiem.

Słyszeliśmy, że ks. Morozow jest tem b. rozgorączkowany i nie widzi dla siebie już w państwie polskiem pola do dalszej pracy. Natomiast nie są zgodne z prawdą kolportowane dziś przez prasę endeczkę pogłoski, że myśli on o powrocie do prawosławia. Unjonizm dziś w świecie katolickim rośnie z dniem każdym, i młody a wykształcony ten kapłan znajdzie dla siebie odpowiednie stanowisko poza Polską, w atmosferze nierównie więcej sprzyjającej wielkiej idei.

Jezuici obrządku wschodniego z rezydencji swej w Albertynie reprezentowani byli przez należącego do najzasłużeńszych członków tego zakonu ks. superjora Prątkiewicza i jego dzielnego współpracownika ks. Dąbrowskiego.

Ze zjazd miał własną linję, a nie pożyczoną u endecji, tak wpływowej w sferach duchownych Wilna i Wileńszczyzny, dobrze świadczy fakt, że w liczbie referentów był też ks. Cikoto, superjor Marjanów w Drui, który złożył umotywowaną petycję, mającą cztery wytyczne: katechizacja i nauczanie ludu białoruskiego wiary w języku białoruskim; organizacja misyj ludowych w tej że mowie; zorganizowanie katolickiej akcji wydawniczej dla przeciwdziałania metodystom i komunistom; wreszcie założenie placówek mi-

syjnych w obrządku wschodnim w takich miejscowościach, jak Leonpol, Szkunciki, Jody i in.

Dla pełni obrazu dodać tu winniśmy, że nasz Arcypasterz przed zjazdem polecił jednemu z wybitniejszych u nas dziekanów, lepiej orientującemu się w zagadnieniu unjonistycznym, podać dotyczący tej kwestji raport. Nadesłany na zjazd ten raport-memorjał przyniósł podobno niejedną cenną myśl i trafną uwagę do sprawy omawianej.

Wszystkie referaty i petycje dołączono do aktów zjazdu, co nie powinno przecież być utożsamione za złożeniem ich *ad acta*, jakby mógł powiedzieć niejeden sceptyk i pesymista. Jesteśmy gdy chodzi o sprawy Boże optymistami i dlatego wierzymy, że przyjdzie czas i na nie. *Młyny Boże pracują wolno, lecz pewnie*, mówi przysłowie niemieckie.

Tyle o samym zjeździe.

Cóż obwieścił nam komunikat pozjazdowy? Oprócz depešy holdowniczej do Ojca św., zapatrzonego tęskniąc w zagadkowy Wschód z komunikatu wyluskać można jeszcze:

1. umiarkowany birytualizm;
2. pewne liczenie się z psychologią ludzi wschodu.
3. pozostawienie im ich — obrządku;
4. zaakceptowanie nazwy „słowiańsko-katolickiej” tak dla osób, jak dla obrządku.
5. trwający wciąż przyływ aspirantów do Kościoła powszechnego.

Pozatem wiemy, że negatywny stosunek do współpracy z bazylianami na terenach białoruskich i ukraińskich jeszcze trwa, i że kierowanie akcją unjonistyczną, przynajmniej na terenie archidiecezji wileńskiej powierzone jakoby zostało biskupowi Michalkiewiczowi.

Budzi w nas jednak niemało obawy akcja ks. Lesnobrodzkiego tak ze względu na jego osobę, jak i na metody działania. Kościół i Cerkiew to żyjący od dłuższego czasu w separacji małżonkowie. Szlachetni małżonkowie w wypadkach podobnych nie mają zwyczaju poniżać siebie nawzajem, ku uciesze złośliwych języków. Więc i Kościołowi nic a nic nie przybędzie z uprawianego przez ks. Lesnobrodzkiego poniżania Cerkwi prawosławnej.

Ale w tygodniu ubiegłym stała się rzecz gorsza: Unja w Wilnie wzrosła liczebnie o dwie jednostki, wyrzutki Cerkwi i społeczeństwa rosyjskiego. Jedna z nich ma na swej przeszłości plamę kryminalną, a ostatnio w uczciwej opinii rosyjskiej uchodzi za narzędzie defenzywy, która już nie od wczoraj wściłbia swój nos do unjonizmu, i kolektora wiadomości z życia prawosławnego i rosyjskiego dla endeckiego „Dziennika Wileńskiego”. Z rumieńcem wstydu czytaliśmy w prasie wileńskiej o tych „nawróceniach”. *Jeszcze parę takich nawróceń i — słabiutka w Wilnie Unja łatwo się może rozlecić.* Szlachetny pastor luterński A. Needra, z powodu afer rozwodowych zboru kalwińskiego w Wilnie w liście do piszącego wyraził się, że nie chce by jego zbiór stał się *wiadrem do pomyj (Schmutzeimer)*. Rada wybitnego pastora przydałaby się i nam. Nie byłaby ona zgola potrzebna, jeśliby przed przyjęciem dwóch „apostołów”, zapytano ludzi lepiej obznajomionych ze stosunkami wśród Rosjan w Wilnie. Ostrożnie z nawróceniami!

*Non multa, sed multum!*

P. Kantryba.

## Niesłabnąca wiara.

Z jakimi trudnościami musi walczyć u nas szkolnictwo białoruskie — świadczy wymownie poniższy ustęp, wyjęty z podania, złożonego ministrowi oświaty przez Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury.

„Nieposiadając wcale państwowych szkół białoruskich, dzięki polityce rządowej, Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury podjął się starań w celu organizowania, w miarę możliwości, prywatnych szkół białoruskich. Na rok szkolny 1926/27 Instytut wniósł podania do odpowiednich inspektorów szkolnych na 18 białoruskich szkół. Dotychczas żadne z tych podań nie zostało pomyślnie załatwione. Nawet szkoła we wsi Rudawka, pow. Słonimskiego, na którą była koncesja wydana w kwietniu 1926 r. na rok szkolny 1925/26, dotychczas nie funkcjonuje, ponieważ kuratorjum Białostockie nie udziela żadnej odpowiedzi na podanie Instytutu o koncesję na rok szk. 1926/27 wniesione do inspektora szkolnego jeszcze w m-cu czerwcu r. b.

Pomimo tego milczenia ze strony Kuratorów przy wnoszeniu podań inspektorowie szkolni stawiają nadmierne wymagania w celu utrudnienia powstania nawet prywatnej szkoły białoruskiej. Naprzykład, inspektor szkolny pow. Stołpeckiego pomimo całego szeregu innych wymagań, żąda: 1) opłaty stemplowej od podania o szkołę w sumie 7 zł. oraz od załącznika po 40 groszy; 2) deklaracji o przyjęciu odpowiedzialności materialnej za utrzymanie szkoły, podpisy na której winny być rejentalnie poświadczone; 3) świadectwa lekarza powiatowego o przydatności lokalu oraz urządzeń wewnętrznych na cele szkolne.

W ten sposób koszta wniesienia podania na szkołę białoruską wynoszą: od podania 7 zł., 12 załączników à 40 gr. — 4 zł. 80 gr. poświadczenie rejentalne podpisane przez członków Zarządu T-wa — 8 zł. oraz porto 70 gr., razem 20 zł 50 gr.

Suma 20 zł. 50 gr. od podania na białoruską szkołę może być uważana jedynie jako przeszkoda do powstania białoruskiej szkoły. Jeszcze gdy uwzględnimy świadectwo lekarskie, okaże się że w Polsce zupełnie niemożliwym jest, żeby mogła powstać chociaż jedna prywatna szkoła białoruska. Dowodem tego jest to, że nawet na przepisowo wniesione podania nie mamy odpowiedzi.

Poza tą stroną formalną, jako największy argument władz szkolnych, którym uzasadnia się odmowną odpowiedź na podanie o szkołę białoruską, są wymagania, stawiane kandydatom na nauczycieli. Powszechnie jest uznanem, że żadnemu nauczycielowi — Białorusinowi nie przyznaje się kwalifikacji i dlatego chociaż koncesję na szkołę z wielkim trudem i można uzyskać, jednak szkoły nie można uruchomić, bowiem kwalifikacja nauczyciela rzekomo jest nie dostateczna. Nauczyciele, którzy ukończyli seminarja przed wojną, lub równorzędne kursa nauczycielskie, ewentualnie złożyli egzamin przed odpowiednią komisją na nauczyciela i posiadają kilkoletnią lub kilkunastoletnią praktykę nauczycielską są powszechnie uznawani przez władze szkolne za niewykwalifikowanych. Ci sami nauczyciele, jeśli nie ubiegają się o szkołę białoruską, lecz o szkołę polską, zupełnie dostatecznie posiadają kwalifikacje. Jeśli zaś chodzi o szkoły prywatne polskie, to Macierz szkolna swoją władzą prostoprost mianuje nauczycieli z pośród osób, którzy zupełnie nie są zapoznani z fachem nauczycielskim, i posia-

dają zaledwie 4 klasy ogólnokształcące; kto ukończył 6 klas zostaje już nauczycielem państwowym i dlatego nie pójdzie do Macierzy na nauczyciela prywatnego”.

Przytaczając fakty powyższe Zarząd Instytutu wyraża nadzieję, że „pan Minister nie podziela dotychczasowej polityki swych organów podległych” oraz że „zapoczątkuje nowy kierunek w polityce szkolnej względem Białorusinów”.

Podziwiać należy doprawdy tę niesłabnącą, mimo ustawicznych zawodów, wiarę działaczy oświatowych w rychłe zapoczątkowanie nowego kursu w polityce polskiej względem mniejszości narodowych. Nie darmo wielki poeta polski nawoływał: „Niech żywi nie tracą nadziei!..”

## Konkurs na pomnik Mickiewicza w Wilnie.

Bez wielkiej gorączki oczekiwało flegmatyczne Wilno wyniku konkursu, bardziej interesując się pytaniem, kto otrzyma 24 tysiące złotych ze składek publicznych, niż projektem pomnika. Sceptycy zapowiadali fiasco. Nie bardzo się omylili. Wyniki konkursu są smutne. Wyrok jury świadczy 1) o nieliczeniu się z rzeczywistością, 2) o zupełnym ignorowaniu Wilna.

Ogół prac konkursowych przedstawia rozpaczliwą banalność. Prawda że zadany „temat” narzucał pewien szablon, że kateryczne wyjście z tego szablonu groziło, jak to ujrzelśmy w utworze Szukalskiego, wpadnięciem w dziwactwo, ale czyż nie można było unikając Scylli i Charybdy, dać utwór świeży, mocny i piękny, a odpowiadający celowi: Mickiewicza pomnik w Wilnie? Podkreślam to słowo. Bo zapomnieli o niem tak projektodawcy jak i jury. Prócz rzeźby p. Jachimowicza, projektu *Trawka* (wsparty na Judaszu skale”) i *Improwizacji*, nigdzie Mickiewicz nie jest Promienistym, młodym romantykiem, ale wszędzie dojrzałym ojcem narodu. Życie Mickiewicza dzieli się wszak na młodość spędzoną w Litwie (Wilno—Kowno—Nowogródzkie) i tułaczkę po obczyźnie, z której na krótko tylko do Wielkopolski w r. 1831 wpadnie. Oczywiście genjusz jego poetycki należy do całego narodu i do całej ludzkości nawet, ale nie powinno się nigdy zapominać jak dalece ten „bóg litewski” miał serce, duszę, natchnienie całe przepojone Litwą i tą swoistą tutejszością, którą wolno warszawskim literatom nazywać prowincjonalizmem. Nic to doprawdy Mickiewiczowi nie zaszkodzi, ani nam. Otóż o tej ważnej stronie w twórczości pomnika zapomnieli prawie wszyscy, a przecie podwójnie zaznaczyć by się powinna w pomniku dla Wilna. Jakże tu może stanąć inny Mickiewicz, niż jako twórca „Ody do miłości”, jako towarzysz Zana, Czeczota, Malewskiego i innych filomatów? \*)

Jedynie p. Jachimowicz zrozumiał to, odczuł i odtworzył. Projekt jego (nagroda II) przedstawia jeźdźca z ballady na stylizowanym Pegazie lecącego w przestrzeń. Rozmach, polot, natchnienie, młodzieńczy poryw, wszystek entuzjizm naradzającego się romantyzmu jest w tym pomniku. I wierni, ukochani Filareci są też razem. Umieścił ich p. Jachimowicz na cokół w płaskorzeźbie. On jeden o tem pamię-

\*) Sądźmy, że pomnik Mickiewicza w Wilnie może również wyobrażać poetę jako wygnańca, wpatzonego w wizję swego kraju rodzinnego i w porywie tęsknoty wołającego: „Litwo, ojczyzno moja!” (Przyp. Red.).

tał, że Oni muszą towarzyszyć wileńskiej postaci Mickiewicza. Mimo pewnych wad pośpiesznego wykończenia (zbyt nikła postać jeźdźca), które dadzą się zapewne poprawić, z całego konkursu jest to jedyne dzieło natchnienia z uwzględnieniem warunków, w jakich pomnik ma stanąć i psychiki tych, co nań patrzeć mają ciągle.

Powie jakiś apostoł czystej formy i sztuki dla sztuki: „dzieło mistrza nie jest dla tłumów”. A przepraszam, owszem. Tłum patrzący nie składa się z samych analfabetów, z tego tłumu wyrósł i poeta, i rzeźbiarz, są obaj z tym tłumem zrosnięci krwią i mózgiem, choć nad tłum się wzniesli. Wreszcie przy stawianiu pomnika chodzi przecież o wrażenie, wstrząs uczuciowy wśród szerokich warstw, a nie jedynie o zadowolenie znawców i estetów. Pomnik wielkiego wieszacza powinien się tłumaczyć jasno, a nie być sybilliczną zagadką, o której rozwiązanie pytały trzeba specjalistów, co też ten i ów, niezrozumiały nawet dla inteligentnej publiczności, szczególnie i symbol znaczy? Pomnik nie jest operacją chirurga, ani analizą chemiczną czy giełdową transakcją, w których czynni mogą być tylko fachowcy. Sądzić, chcieć lub niechcieć, entuzjazmować się lub oburzać nad dziełem sztuki, przeznaczonym dla stolicy kraju, ma prawo każdy... kto się poczuwa do obowiązku składania na nie swych groszy, a do wydania sądu powołani są przedstawiciele miejscowej inteligencji, odczuwający z natury rzeczy inaczej, bliżej, prawdziwiej twórcę „Pana Tadeusza”, niż najznakomitsi artyści lub profesorowie, obcy duszy tutejszej.

Obcy zaś i egzotyczny jest odznaczony pierwszą nagrodą utwór p. Szukalskiego, który okazał się nie pospolitym artystą, ale nie tegim psychologiem. Powie znów ktoś, że wielki artysta ma prawo narzucać tłumom swą koncepcję i zmuszać je do uznania i zrozumienia swego dzieła, do wzruszenia się niem. Zgoda, ale musi się to dziać bez pomocy objaśniających komentarzy zawodowych krytyków. Laureat słuchał tylko swej koncepcji, swej wizji o Mickiewiczu, tworzył go w transie bólu, natchnienia, męki i dał obraz... tortury! Pomnik ten, to jak Fantazy z Nowej Dejaniry „pomięty jak dziwna jakaś perła kałakucka, tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty, i do perły jest niepodobny wcale, ale jest jako monstrum dziwne, drogie”. Co ma wspólnego z Mickiewiczem, z Wilnem, z polsko-litewsko-białoruską Jego (i naszą tu) duszą, co ma zresztą z Polską ten preparat anatomiczny, przypominający hindusko-meksykańskie bóstwa i woskowe figury z panopticum, przedstawiające średniowieczne tortury (łamanie kołem i żelazny kołpak)? Dlaczego tu, w mieście młodzieńczych natchnień, bólu, ale i promiennego szczęścia młodego Mickiewicza, ma stanąć ta synteza cierpień „za miliony”, oddana z wielką maestrią techniczną w szczegółach licznych, aż nazbyt licznych, przeładowanych kompozycję literacko-filozoficznymi dygresjami, nie tłumaczącami się jasno?

Mickiewicz wrasta w orła, którego karmi krwią zbieraną do ręki z rany w boku. Chrystus narodu i Prometeusz, Amfortas i Poverello z Asyżu, wszystkich ich chciał autor zlać w syntezę. Dał kompozycję ciekawą, nagrodzoną dlatego, że jest niepodobną do żadnej dotychczasowej koncepcji Mickiewicza, że niezaprzeczenie ma duże wartości rzeźbiarskie i kompozycyjne. Jakkolwiek co do tego ostatniego mielibyśmy pewne zastrzeżenia: głowa orła jest tak nikła i drobna, tak mało wystaje z pod ramienia zgiętej postaci, że dojrzeć ją trudno teraz i byłoby trudno

dopatrzyć na pomniku. Dobrze obmyślony i tworzący całość ze stylem kompozycji cokół, ale grupa (figura, łuk tęczy i orzeł) przesunięta w prawo, co sprawia brak równowagi. Przytem pomnik wszak jest przeznaczony do oglądania ze wszystkich stron, ten zaś ma tylko „front”, z boków i z tyłu jest nagromadzeniem poszarpanych płaszczyzn bez znaczenia, ładu i harmonii.

Cały ten pomnik syntetyczno-filozoficzny, może pozostać jako ciekawy okaz muzealny, ale nie może stanąć na placu publicznym. To jest bezwarunkowo ogólna (z małemi wyjątkami) opinia inteligencji wileńskiej.

Tyle co do projektu p. Szukalskiego, niewątpliwie pod względem artystycznym wyróżniającego się mocno od reszty wystawionych prac. Nasępne: nagroda III — projekt p. Lubelskiego, to dobra robota, ale bezduszną, bez smaku, polecone do zakupu i oznaczone — szczyt banalności: Mickiewicz z lirą, a na tej lirze orzeł (!) i obelisk. Inne, jak *Saturn*, *Snić Miłość*, *Kochajmy Ojczyznę*, mają zalety kompozycyjne, ale sto tysięcy razy się takie rzeczy widziało. *Jedność*, harmonijny i spokojny oraz *Trawka*, (niestety, z banalną lirą i pacholeciem) świadczą o dobrej robocie technicznej oraz o zrozumieniu zasady pomnika Mickiewicza w Wilnie. Echa szepczą nazwiska dwóch znanych i cenionych w kraju i zagranicą artystów.

Wystawę dobrze urządzoną w ujeżdżalni wojskowej zwiedza mało stosunkowo publiczności.

Scipio.

## Koniec przykrego nieporozumienia.

Wielu z nas jeszcze ma w pamięci to poruszenie, jakie w Wilnie wywołały w l. l. 1919—1921 niektóre enuncjacje arcybiskupa Hryniewickiego na temat narodowościowych zagadnień Litwy i Białorusi. Odgłosy jego znajdujemy nie tylko w ówczesnej prasie litewskiej i białoruskiej, lecz też i polskiej („Gazeta Krajowa”) i rosyjskiej („Wilenskoje Słowo”). Sędziwy wiek, wysokie dostojeństwo i historyczne zasługi nieustraszonego ongi szermierza o wolność Kościoła i razem obrońcy krzywdzonego przez rząd rosyjski ludu, czyniły dla katolika szczególnie przykrem zajęcie stanowiska wręcz przeciwnego zapatrywaniom arcybiskupa. Przeświadczenie jednak, że kościół jako taki nigdy nie rzuca swego autorytetu na szalę zagadnień czysto politycznych, wprawdzie najzupełniej uprawniało do odrębnego ujęcia problemów narodowościowych, niemniej przecież scysjo z arcybiskupem była niezaprzeczenie rzeczą niemiłą.

Szły atoli lata, ucichły namiętności, nastąpiła duża zmiana nastrojów i wreszcie konsolidacja ruchów litewskiego i białoruskiego, których to głównie dotyczyły znane enuncjacje arcybiskupie. Było więc wskazanem poszukać sposobu, by jakoś zetrzeć przykre wrażenie dawnego zatargu z arcybiskupem. Byli, co nad tem myśleli już oddawna.

Szczególnie bliską sercu była ta sprawa dla ks. Władysława Tołoczki. Przytoczone bowiem przez niego w swoim czasie na szpaltach „Gazety Krajowej” powiedzenie Syrokomli o „mądrości cierpienia” było przez endeków wytlumaczone najzłośliwiej, jako osobista a straszliwie ubliżająca napaść na arcybiskupa.

Co nie przeszło nikomu przez myśl nawet, endecy podawali wówczas jako kategoryczne twierdzenie swych przeciwników o czcigodnej osobie b. biskupa wileńskiego. Utrudniło to oczywiście i opóźniło moment porozumienia wzajemnego, który tu dziś z niemałą przyjemnością notujemy.

A stało się to tak: mniej więcej przed miesiącem ks. Wł. Tołoczko wystosował do J.E. arcybiskupa Hryniewickiego list pełen największej rewerencji, wyrażając mu głęboki żal z powodu swego wystąpienia, głosu bólu jaki się wyrwał z pod jego pióra pod adresem arcybiskupa. Ponadto list ten zawierał pewne wyjaśnienie punktu widzenia Litwinów i Białorusinów.

Pismo to nie zastało arcybiskupa we Lwowie, który bawił akurat wtedy na wsi pod Złoczowem. Po powrocie z jesiennych wywczasów do Lwowa, arcybiskup rychło wybrał się w drogę do Wilna, gdzie uznał za bardziej celowe, zamiast odpowiedzi listownej, odwiedzić osobiście autora otrzymanego przez siebie listu, nie żałując wcale dużej fadygi. Zaszczepna wizyta trwała prawie półtorej godziny, przyczem arcybiskup zapewnił swego interlokutora, że był niezrozumiany, bo tak Litwinom, jak Białorusinom najserdeczniej życzy wielkiego dobra i *wolnego* rozwoju, który im państwo powinno zapewnić. Zawsze tego życzył, natomiast *nie* może oczywiście odpowiadać za to, co i jak tam rozmawiający z nim dziennikarz (w danym wypadku endek) podał o nim do wiadomości ogółu w swym dzienniku.

Arcybiskup podczas tej rozmowy *wielokrotnie* wyraził życzenie, by to jego oświadczenie stało się wiadomem tak Litwinom, jak Białorusinom, którzy do niego mogli czuć żal.

A. S.

(Przyp. Red.) Pozostawiając na stronie budujący naprawę wypadek chrześcijańskiego pojednania ks. Tołoczki z arc. Hryniewickim, nie możemy pominąć milczeniem wyjaśnień arcybiskupa w sprawie jego ówczesnych wynurzeń na temat stosunków narodowościowych w naszym kraju. Być może, że od tego czasu zapatrywania ks. arcybiskupa na kwestję litewską i białoruską uległy znacznym przeobrażeniom. Możemy z tego tylko się cieszyć. Jeżeli jednak i wówczas już ks. arcybiskup daleki był od wygłoszenia takich poglądów, jakie mu imputowali dziennikarze endecy, to wielka szkoda, że nie sprostował zaraz publicznie tendencyjnych relacji, zamieszczonych na szpaltach „Rzeczypospolitej” wileńskiej. Nie byłoby wtedy miejsca wogóle na *przykre nieporozumienie*, które trwało niepotrzebnie dobrych kilka lat.

## Z mego notatnika.

### Fałszywe założenie i jego skutki.

Słynny dekret prasowy, który wywołał jednogłośnie protest (z nielicznymi wyjątkami) w całym państwie polskim, znalazł obrońców, jak wiadomo, jedynie w Wilnie. Tu wystąpiły w obronie: śmiało i gorąco — wierzgające na wszystkie strony monarchiczne „Słowo” oraz bardzo oględnie i dyplomatycznie — lawirujący ostrożnie demokratyczny „Kurjer Wileński”.

Wobec takiej rozbieżności w zapatrywaniach nic dziwnego, że skoro kwestja dekretu weszła pod obra-

dy wileńskiego syndykatu dziennikarzy polskich, stało się niemożliwym powzięcie przez te grono wspólnej uchwały i ograniczono się do stwierdzenia uroczystego, iż syndykat jako organizacja zawodowa nie uważa za możliwe zająć solidarnego stanowiska wobec dekretu prasowego, który jest aktem politycznym rządu...

Na czym w takim razie polegają interesy zawodowe zrzeszenia dziennikarzy — zapewne nie potrafi objaśnić żaden z uczestników owego zebrania, na którym poraz pierwszy od czasu istnienia wileńskiego syndykatu wyplętnęło zagadnienie poważniejsze. Dotąd jedynym tematem obrad była kwestja mniej lub bardziej okazalego przyjęcia dla przyjezdnych cudzoziemców.

Zbyt jednak kompromitującą była powzięta przez dziennikarzy wileńskich uchwała, aby mogli przejść nad nią do porządku dziennego szanujący się przedstawiciele prasy. Z publicznym protestem przeciwko takiemu skrajnie oportunistycznemu załatwieniu sprawy, usuwając się jednocześnie z syndykatu, wystąpili najpoważniejsi literaci wileńscy — wbrew poglądom redakcyj, w których stale pracują — p. Czesław Janowski ze „Słowa” i p. Helena Romer-Ochenkowska z „Kurjera Wileńskiego”.

Skorzystał również ze sposobności, by zamianować swe oburzenie zespół współpracowników „Dziennika Wileńskiego”. Ci także, wszyscy bez wyjątku zgłosili swe wystąpienie z syndykatu, powodując się rzekomo dbałością o honor prasy polskiej, w gruncie rzeczy zaś, aby dolać oliwy do ognia, na którym możnaby upiec swą pieczeń partyjną — podsyćcenie niezadowolonia z obecnego rządu. Któż bo naprawdę uwierzy, że p. Jan Obst zasadniczo jest przeciwny administracyjnym metodom rządzenia? Pierwszyby za niemi głosował, gdyby administracja była w ręku jego przyjaciół politycznych.

Z tych lub innych względów, jednakże znaczna część członków syndykatu wileńskiego wystąpiła zeń i dziś już ta organizacja nie reprezentuje nawet miejscowej prasy polskiej, nie mówiąc już o jej całokształcie w Wilnie. Szczątki będą może czas jakiś istniały, ale nie będą miały żadnego znaczenia. Należy więc liczyć się z faktem, że syndykat przestał istnieć.

Musiło do tego dojść pierwiej lub później, bo samo założenie syndykatu było fałszywe. Nie była to organizacja od powstania swego ściśle zawodowa, bo nie łączyła wszystkich dziennikarzy wileńskich, lecz jedynie i wyłącznie dziennikarzy polskich, a więc jednostronna i mająca wyraźne zabarwienie polityczne. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Pierwiastek polityczny, tkwiący w założeniu syndykatu ostatecznie go rozsadził. Nie zawsze przecież życie nastęrcza tylko okazje do wystąpień nacjonalistycznych. Zdarzają się sytuacje, gdzie hasło wyłączności narodowej nie wystarcza. I wtedy pozorna solidarność — pęka. Tak się stało właśnie w obecnym wypadku. Organizacje zaś istotnie zawodowe takich trudności na swej drodze nie spotykają, gdyż ich punkt widzenia jest inny i cele są jasno określone.

Licz.

## O Zielonych Jeziorach.

„Oddawna okolice Zielonych Jezior słyną wśród ludu miejscowego, znachorów i handlarzy ziołami z mnogości przeróżnych, skutecznie działających ziół leczniczych, dziko tam występujących, po które od wczesnej wiosny wywędrowują różne znachorki, by później zebrane zioła oraz przyrządzaną z nich t. zw. trojanekę sprzedawać na targach miejscowych lub przygotowywać znaczną ich ilość na dzień św. Jana, 24-ty czerwca. W tym dniu w Wilnie przed kościołem Ś-to Jańskim odbywa się doroczny tradycyjny targ na zioła lecznicze, po nabycie których, jak i po osiągnięciu informacji, jak je należy stosować i używać, by zdrowie lub szczęście osiągnąć, ludność wiejska z najdalszych okolic kraju tłumnie przybywa.

„Oddawna okolice Zielonych Jezior, wytworne pod względem krajobrazu, znane są miejscowej ludności, oddawna też ściągaly amatorów wycieczek i miłośników przyrody, zachwycając wzrok ich znaczną ilością gatunków występujących tam roślin o silnym natężeniu barw i bujnych kształtach.

„Na tereny powyższe zwrócili już szczególną uwagę botanicy dawnego Uniwersytetu Wileńskiego (Jundziłł, Wolfgang, Gorski), znajdując tam szereg rzadkich dla flory krajowej roślin...”

Powyższym wstępem zaopatrzył kapitalne, chociaż mało znane szerszym kołom czytelników, swe dzieło o Zielonych Jeziorach, wydane w Wilnie w r. 1924 dr. Witold Sławiński, ówczesny asystent przy katedrze botaniki na uniwersytecie St. Batoiego, a dziś zmuszony uprawiać niwę naukową w dalekim Poznaniu.

Cel swej pracy autor wyklada w tych oto wymownych słowach:

„Pragnąłem przepiękny ten zakątek kraju naszego poznać i zwrócić uwagę innych na te skarby przyrody żywej, kraj nasz zamieszkującej, na stosunki florystyczne tu panujące, zachęcić do badania i poznania kraju naszego, będącego dotąd ową „terra incognita” pod względem fizjograficznym, przyczynić się przez to do ukochania szarej a świętej naszej ziemi litewskiej, skłonić do ochrony powyższych terenów pierwotnej przyrody, naturalnych zrzeszeń roślinnych, drzew — weteranów, świadków dawnego stanu naszych lasów, do ochrony wapieni i wód przed niszczącymi zapędami człowieka, jednym słowem — do stworzenia tam rezerwatu”.

Kontynuatora swych zamierzeń znalazł p. W. Sławiński w osobie p. J. Bowkiewicza, asystenta przy zakładzie biologji ogólnej na uniwersytecie wileńskim, który myśl rzuconą przez swego starszego kolegę — popularyzowania Zielonych Jezior wśród szerokiej publiczności, zrealizował w formie odczytu, wygłoszonego d. 16 b m. w auli Śniadeckich.

W swym naukowym a zarazem przystępnie opracowanym referacie p. Bowkiewicz zapoznał słuchaczy z wynikami swych kilkoletnich studjów nad Zielonemi Jeziorami, ze składem wód jeziornych, z ich życiem, z fauną i florą nurtów i brzegów. Urozmaiconego przezrociami odczytu wysłuchała szczerze wypełniająca salę publiczność z wielkim zainteresowaniem, składając tem dowód, że jest żadna wiadomości nie tylko o Zakopanem i „polskim morzu”, czem dotąd wyłącznie była karmiona, ale i o własnym kraju, o bliskich, a tak mało znanych okolicach.

Był to bodaj pierwszy odczyt ściśle krajoznawczy i oby zapoczątkował szereg następnych! L. H.

## Piszą do nas.

### Mniej przesady, więcej umiarkowania!

Ponieważ kazanie, wygłoszone po polsku przez ks. Z. Szymkiewicza nie daje spokojnie spać niektórym zapaleńcom, jak to widać z artykułu w „Sialanskiej Niwie”, uważam za wskazane udzielić parę słów wyjaśnienia w tej sprawie. Przewszystkiem ni-słusznie inkryminuje się ks. Szymkiewiczowi wygłoszenie owego kazania „w cerkwi”. W rzeczywistości miało to miejsce w kaplicy obrządku łacińskiego w Świętej Woli, gdzie tytułem próby odprawiono kilka mszy wschodnich chcąc się przekonać, czy i tutejsza ludność, jak gdzieindziej, nie zażąda sobie księdza obrządku wschodniego, jako że działowie ich byli unitami.

Następnie nie jest zgodne z prawem jakoby owo kazanie było mówione do prawosławnych. — Tych było tam najwyżej osób 10, natomiast kaplica była prawie wypełniona przez łacińników Polaków, oficjalistów z miejscowego dworu i osadników z sąsiedztwa, co widząc ks. Szymkiewicz jako kapłan katolicki, odrzucił wszelkie względy na politykę i uznał za najstosowniejsze wygłosić tu kazanie po polsku. Oczywiście sprawa unji tem on nic nie pomógł, ale chyba też bardzo nie zaszkodził. Winien był przemówić po białorusku i do owych dziesięciu. Szkoda, że tego nie zrobił. W tym wypadku będący na kazaniu prawosławni nie orzekli-by, że Unja koniecznie idzie u nas w parze z polskością, a polskością tą są oni tak nasrasoni przez duchownych prawosławnych i różnych agitatorów, że lękają się jej, niczem zarazy.

Tenże artykuł „Sial. Niwy” zawiera protest przeciwko twierdzeniu, że kraj nasz posiada ludność mieszaną. Tak utrzymywać może tylko ten, kogo nacjonalizm zupełnie oślepił, wszędzie bowiem u nas, zresztą jak i gdzieindziej, sporo się znajduje rodzin mieszanych tak narodowościowo, jak i wyznaniowo. Znana jest szeroko w naszym kraju pewna rodzina ziemiańska, w której jeden z braci uważa się za Polaka, drugi za Białorusina a trzeci za Litwina. Takie zjawiska są u nas dosyć częste, i niema żadnej racji drażnić kogoś, wmawiając mu, wbrew jego przekonaniu, że jest tej lub owej narodowości. Polityka robi swoje, a życie swoje, i to ostatnie decyduje.

K. B.

## „Numerus clausus”.

Zagadnienie „numerus clausus” nie przestaje być palącym tematem dla społeczeństwa żydowskiego. Zagadnienie to omawiane przez prasę we wszystkich prawie językach świata, z rozmaitych punktów widzenia, o którym zabierały głos liczne kongresy międzynarodowe, nie wymaga chyba już dyskusji zasadniczej. Mimo kategorycznego potępienia przez całą światłą opinię „numerus clausus” faktycznie jednak istnieje w państwie polskiem.

Wilno dotychczas stanowiło pod tym względem dodatni wyjątek w porównaniu z innymi uniwersytetami polskimi. Zdawało się, że piękne tradycje czasów Mickiewiczowskich utrzymują wszechnicę wileńską na tem stanowisku wyjątkowem. Stało się wszakże inaczej. W bieżącym roku szkolnym zastosowano względem młodzieży żydowskiej „numerus clausus” również w Wilnie. Że to twierdzenie nie jest gołosłownem, o tem świadczą liczby studentów Żydów, przyjętych na uniwersytet w bieżącym roku akademickim: i tak np. na wydział lekarski na 110 chreścijan przyjęto Żydów tylko 22, a odrzucono w tym samym czasie 300 podań złożonych przez Żydów; na farmację przyjęto na 48 Polaków 6 Żydów i t. d. Nie chodzi zresztą o taką czy inną liczbę przyjętych studentów, sedno rzeczy jest jednak w tem, że nie przyjmowano tych licznych kandydatów, którzy się zgłaszali na uniwersytet, jedynie z tego powodu, że są Żydami.

Z braku miejsca musimy pominąć wyliczenie wszystkich kroków, poczynionych przez Żydów stu-

dentów w Wilnie dla wyrażenia protestu przeciwko „numerus clausus”, nie możemy jednak nie podkreślić faktu, który jeżeli jest ścisły, rzuca zupełnie dostatecznie światło na metody władz uniwersyteckich. Oto wileński „Cajt” z dn. 26 ub. m. № 238 zdając sprawę z przebiegu wiecu protestacyjnego, urządzonego przez młodzież żydowską, studującą na uniwersytecie wileńskim, przytacza wyjątki z przemówienia jednego z mówców, który oświadczył co następuje:

„Związek Studentów Żydów tutejszego uniwersytetu złożył memorandum w sprawie „numerus clausus” panu rektorowi Zdziechowskiemu. Pan rektor wyjaśnił delegatom związku, którzy mu memoriał złożyli, że aczkolwiek ma bardzo „dobre chęci”, nie może jednak, nie stety, w niczem dopomóc. Przyrzekł jedynie, że przedstawi to memorandum Senatowi Akademickiemu. Okazało się jednak potem, że Senat Akademicki na oczy nawet nie widział tego memorandum. Gdy delegaci poraz wtóry udali się w tej sprawie do pana rektora, oświadczył on im zupełnie otwarcie: ponieważ Żydzi, mimo wszystko, są w gruncie rzeczy wrogami Polski, to jak można dopuścić tych oto wrogów Polski na uniwersytet?”.

Jeżeli tak istotnie mówił rektor uniwersytetu, czyż możemy się oburzać na przeciętne kółtuństwo za jego słowa i czyny, któremi wyraża on swój stosunek do współobywateli żydowskich?

Możemy pocieszyć tych, którzy się boją „zażydzenia” uniwersytetów, że wśród Żydów samych coraz mocniejszy jest prąd, który dąży do powstrzymania większych rzesz młodzieży żydowskiej od bezskutecznego kółtania do wyższych uczelni.

Oto co na ten temat pisze „Woliner Woch” w № 45 z dnia 5 b. m. nawiązując do znanego przemówienia rektora uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Marchlewskiego, który na inauguracji roku akademickiego zwrócił się do zebranej licznie młodzieży, ze słowami: „za dużo was jest” oraz do odczuwającej się w społeczeństwie polskiem reakcji przeciwko jednostronnemu kierunkowi w wychowaniu młodzieży, zaniedbującemu szkolnictwo średnie zawodowe.

„I u nas Żydów musi być podniesiony głos za produktywizacją młodzieży żydowskiej, kształceniem jej na zdrowych obywateli, którzy obok wykształcenia ogólnego posiadają również wykształcenie zawodowe i znajomość fachu”.

Ruch ten rozwija się u Żydów od paru dziesiątków lat i niema ani jednej światlejszej jednostki wśród Żydów, któraby się wyraźnie za tym ruchem nie opowiadała. Wystarczy przejrzeć programy większości stronnictw żydowskich, wystarczy zastanowić się nad tem, że istnieją liczne towarzystwa dążące do „uproduktywizowania” mas żydowskich, trzeba wstąpić się w rozlegające się stale od wielu lat w świecie żydowskim głosy, i to głosy najpoważniejsze, trzeba przyrzec się uważnie usiłowaniom Żydów od wielu lat w tym kierunku czynionym — a wtedy każdy bezstronny zgodzi się z tem, że wina leży nie po stronie Żydów, mają oni bowiem do wszystkich prawie zawodów dostęp zamknięty. Czy to będzie urząd państwowy, czy municypalny, czy praca w przemyśle lub na roli, wszędzie Żydzi albo są całkowicie niedopuszczeni do pracy, albo też są dopuszczani w tak znikomo małej liczbie, że siłą rzeczy pozostaje im utarta droga i handlu i nielicznych wolnych zawodów.

Skutkiem tego powstaje istotnie w pewnych dziedzinach jeżeli nie przewaga, to w każdym razie znaczny wpływ żywiołu żydowskiego, co znów wywołuje śmieszna obawę przed zupełnym ich opanowaniem przez Żydów i żądania stosowania ograniczeń przy przyjmowaniu studentów żydowskich na uniwersytety.

Można być pewnym, że gdyby Żydzi mogli znaleźć pracę we wszystkich dziedzinach, gdyby mogli zająć każde stanowisko na podstawie swych kwalifikacji zawodowych, niezależnie od swego pochodzenia i wyznania, to przestałoby cisnąć się do podwoi uniwersyteckich, szukając innych dróg zarobku. Kwestja „*numerus clausus*” upadłaby wówczas sama przez się. Sztuczne przeszkody wytwarzają nienormalne stosunki i niezdrową atmosferę, w której lęgną się tak barbarzyńskie pomysły, jak „*numerus clausus*”...  
Ego.

## Bibliografia.

Lietuviu Tauta. *Lietuviu mokslo draugijos raštai*. Knyga IV sąsiuvinys I 1926 m. Vilnius.

Organ Litewskiego Tow. Naukowego w Wilnie, pomimo niesprzyjających warunków, bez przerwy we właściwym czasie ukazuje się, co zawdzięczać przede wszystkim należy niestrudzonemu dr. Basanowiczowi.

Na zeszyt I (tomu IV) złożyły się następujące prace: A. Srba „Kai tai yra—trakologija?”. (Co to jest trakologija?) Autor w tym krótkim informacyjnym artykule nawołuje Litwinów, poświęcających się nauce, do zajęcia się badaniami nad trakologią, dr. J. Basanowicza „Iš senoves lietuviu mytologijos” (Ze starożytnej mitologii litewskiej), A. M. Raczka „Gintaras numizmatikoje” (Bursztyn w numizmatyce), dr. J. Basanowicza „Apie senoves prusu rasza” (O starożytnym piśmie pruskiem), K. Bugi „Vaidevuto veliaros antraszas” (Napis na chorągwi Vaidevuta. Praca ta napisana była w r. 1904. Dziś jest już przestarzała. Kun. Dr. A. Viskontas „Vitautas, didysis liet. kunig., o Gardelio unija” (Witold, wielki książę Litwy, o unji horodelskiej). „Lietuvos raudai”— raudy litewskie — bardzo bogaty materiał dotyczący twórczości ludowej i zbiór przysłów i wróżb zamyka całość zeszytu.

Wreszcie bogata kronika ilustruje roczną działalność Litew. Tow. Naukowego w Wilnie.

W. Sak.

Pawodle Łuki św. Ewangelie. Łódź. 1916. Str. 86. Latem roku bieżącego pod tytułem powyższym ukazała się książeczka kieszonkowa będąca, jak wiadać, zapoczątkowaniem przekładu całego Nowego Testamentu na mowę białoruską. Dotychczas takiego przekładu nie było, jeśli nie liczyć perykop ewangelicznych, co ukazały się łącznie z cyklem rocznym kazań białoruskich ks. dr. Ild. Bobicza. Ci i owi tylko w rękopisie mają fragmenty przekładu biblii na mowę ludu białoruskiego. Nowością tedy prawdziwą jest niniejszy przekład ewangelii według św. Łukasza.

Książeczka wyszła nakładem osłoniętego mgłą tajemniczości *Towarzystwa Wydawniczego „Kompas”*, w mieście Łodzi. Komu ma ten przekład służyć? Sądzę, że — wszystkim, wszystkim, wszystkim. Nie najgorsza to znowu rzecz. Więcej jednak niż prawdopodobną jest rzeczą, że za wzmiankowanym T-stwem ukrywa się ktoś, coby chciał stworzyć sobie z tych przechodniów nową organizacyjkę religijną. Wyrastają dziś one przecież przez nikogo niesiane jak grzyby po deszczu. Posuwając dalej inwestygacje, zeszlibyśmy już łatwo z linii, której trzymać się winien

sprawozdawca. Sam czas go w tem wyreczy, ujawniając właściwy kierunek tego łódzkiego „Kompasu”.

Przekład wskazuje, że anonimowy tłumacz świetnie włada językiem białoruskim. Te i owe wyrażenia, zwłaszcza neologizmy wydają się wytworzone i nie odpowiadają ściśle oryginałowi, ale nie możemy oczywiście na tem miejscu wdawać się w dociekania lingwistyczne nad mową białoruską. Dogmatycznym natomiast błędem w przekładzie jest dowolna zamiana primogenitum lub prototokon przez... Pierszaho (sic)! *Manducare* znaczy jeść, a nie tylko kosztować. Na ogół wszakże tłumacz może być zupełnie zadowolony ze swej pracy.

Katolicy i prawosławni winni się zakrzętnąć też, by mieć własne przekłady Pisma św. na język białoruski, skoro bez nich podobną pracę już wykonywa *Towarzystwo dla pierakładu swiatoha Pisańnia na białaruskiju mowu*, a rychło zaeznie ją ryska filja T-stwa Biblijnego.

ex.

## KRONIKA.

**Jubileusz d-ra Basanowicza.** W przepelnionej sali koncertowej klubu kupieckiego odbył się d. 16 d. m. uroczysty wieczór. zorganizowany przez Litewskie T-wo Naukowe w Wilnie celem uczczenia 75-ej rocznicy urodzin oraz 50-ej pracy na niwie naukowej i społecznej dr-a Jana Basanowicza.

Brak miejsca nie pozwala nam na szczegółowe sprawozdanie z wieczoru, który wypełniły przede wszystkim liczne przemówienia, a pozatem śpiewy żywe obrazy i przedstawienie amatorskie. Wszystkie miejscowe instytucje litewskie delegowały swych przedstawicieli, którzy wręczali jubilatowi ozdobnie wykonane adresy, kwiaty, upominki, wygłaszając stosowne przemówienia. Wzruszająca była scena, gdy sędziwy prof. Kajruksztis, długoletni dyrektor seminarjum nauczycielskiego, który sam w r. ku ubiegłym obchodził jubileusz 70-ej rocznicy urodzin, składał życzenia nieco zaledwie starszemu od siebie jubilatowi.

Na wieczór przybyło też celem złożenia hołdu zasłużonemu działaczowi litewskiemu sporo przedstawicieli innych narodowości. Po polsku przemawiali redaktorzy „Przeglądu Wileńskiego” i „Kurjera Wileńskiego”, po białorusku p. A. Łuckiewicz i ks. A. Stankiewicz oraz po żydowski poseł Wygodzki i redaktor „Tog'u”. W długim szeregu powitalnych telegramów i pism znalazły się również b. serdeczna depesza p. Cz. Jan. owskiego oraz dłuższe listy od prof. St. Kościalkowskiego, M. Brensztejna, W. Studnickiego i prof. Otrębskiego. Żadna z instytucyj naukowych polskich nie uważała za stosowne nadesłać powitania.

Wzruszony jubilat dziękował za złożone mu wyrazy hołdu po litewsku i zwracając się do przybyłych gości — po polsku.

**Agitacja przeciwlitewska na ambonie.** Litwin, zamieszkał na Śnipliszkach, skarżą się na to, że jeden z księży tamtejszych wrogo i obelżywie odzywa się o nich podczas kazań w kościele św. Rafała. Znany nazwisko tego księdza, lecz nie wymieniamy go w nadziei, że proboszcz wzmiankowanego kościoła, pełen taktu i umiaru, zechce się potroszczyć, by ambona w nim nie była trybuną polityki endeckiej.

**Unjonizm w Litwie.** Świeżo pisze krakowski „Głos Narodu”, że w Kownie jakoby 200 prawosławnych przeszło na katolicyzm. Miała na to wpłynąć okoliczność, iż rzekomo Cerkiew prawosławna w Litwie wraz z arcybiskupem Eleuterjuszem skłania się (?) do Żywej Cerkwi. Tenże dziennik podaje o przejściu w Marjampolu na obrządek grecko-katolicki duchownego prawosławnego. Jerzego Sokolowa, Obyzł Unja w niepodległej Litwie szczęśliwszą była pod względem nawońceń niż w Wilnie!...

**Treść numeru.** Memento. — P. Kantryba. Po zjeździe unjonistycznym w Wilnie. — Niesłabnąca wiara. — Scipio. Konkurs na pomnik Mickiewicza w Wilnie. — A. S. Koniec przykrego nieporozumienia. — Licz. Z mego notatnika. — L. H. O Zielonych Jeziorach. — K. B. Mniej przesady — Ego. „Numerus clausus”. — Bibliografia. — Kronika.